

# ZYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

KS. DR FRANCISZEK BOGDAN, P.S.M.

**ZDROWAŚ MARYJO**

Wydawnictwo Księży Pallotynów.  
Cena 6/6 z przesyłką 7/-  
Do nabycia:  
Veritas Foundation Publ. Centre  
12, Praed Mews, London W. 2.

**NOWE CENY**  
Z PRZESYŁKĄ DO POLSKI  
10 gr. Streptomycyny 2. 4. 0  
3 milj. Penic. Oleistej z Prokajną 0.15. 0  
5 milj. Penic. Krystal. (10 zastrz. po 500.000 j. wysyła 1. 6. 6  
**APTEKA GRABOWSKIEGO**  
187, Draycott Avenue, London, S.W.3.  
TEL.: KENSINGTON 0750

ROK VI.

Nr 20 (256)

LONDYN, 18 MAJA 1952 R.

FERDYNAND GOETEL

## R Z Y M \*

Najwspanialszym miastem świata jest Rzym. Chwila gdy go ujrzałem nie usposabiła do refleksji. Gorycz wygnania stawała między mną a Włochami jak ściana. Nie spieszyłem się do Rzymu ni z Ankony, ni z Bellagio. Znalazłem się w nim ni to z przypadku, nie z wewnętrznej perswazji, aby ostatecznie zobaczyć ten Rzym, skórom już raz znalazłem się we Włoszech a nie wiadomo, czy przyjadę kiedyś raz drugi.

Ale Rzym, mówię, jest wspaniały i o humory ludzkie, choćby jak uzasadnione, nie dba. Zmusza do spojrzenia wstecz, daleko poza własne życie i poza udreki swego pokolenia. Przemawia dobitnie i twardo. Wielka starość, która w Atenach przykuwała tylko na skalnym ramieniu Akropolu, siedzi w samym środku Rzymu, związana z miastem żywo i organicznie. Nie tylko w przenośni historycznej. Odsłonięte budowle starego Rzymu widać z ulic miasta. Mieszcząc się niżej od powierzchni dzisiejszej, kamienne i grube, tym wymowniej przypominają fundament. Z nas, przypominają stare kamienie, z nas powstał Rzym i na nas się opiera.

Rzym Cezarów nie zrósłby się z pewnością tak silnie z dzisiejszą stolicą Włoch, gdyby świat antyczny nie ożył ponownie w renesansowych kościołach i pałacach, wciąż zamieszkałych i otwartych dla ludzi. W Atenach ręka wyciągnięta kiedyś do światła z Akropolu, zawisa dziś w powietrzu — gest już tylko czy błogosławieństwo przesłane morzom i lądom ponad Pireusem. Tu została podchwycona mocno przez późniejsze wieki. Ciągłość zachodniej kultury jest tu nieprzerwana, jak biblijny zapis proroków... Ze starego Rzymu urodziła się bażylka romańska z bazyliką wyrosłą kościół renesansowy, z renesansu barok i późniejsze czasy. Gotyku nie ma. Lecz właśnie tu w Rzymie pojmujemy, że gotyk to inna, druga legenda Zachodu, nie całkiem pogodzona z antyczną i wyrosła niejako na uboczu zasadniczego nurtu. Katedra kolońska Notre Dame czy nawet katedra Mediolanu kiociłaby się z Rzymem więcej, niż pretensjonalny i przeladowany gmach parlamentu, dzieło XIX wieku.

Jest wreszcie i Rzym miastem w sam raz wielkim. Jakaś mądra ręka, czuwająca nad miastem powstrzymała rój ludzi przed wspanieniem kretowisk wielomilionowych stolic. Cywilizacja techniczna nie wylaowała tu urody życia, tak jak się to stało gdzie indziej. Przepływający miastem Tybr ma nurt swojodobny a brzeg zielony i nie wykładowany protezą betonowego bulwaru. Na Nadtybrzu rosną zielone gaje, zarzucone swobodnie na kamienny postument miasta. Rzym można przemierzyć w każdą stronę biechota bez nudy i ogólniającego znudzenia. Co krok kamień czy lawka, na której można przysiąść. Lub stołek ulicznej winiarni.

Nic nie wskazuje na zmlerch zakorzenionej w Rzymie tradycji. Wojna przetoczyła się mimo miasta. Nie ma śladu po czołgach amerykańskich, które przełamały się przez mosty na Tybrze. Żaden bunkier niemiecki nie pozostał na wyłotach ulic. Samoloty przeleciały górą nie zrzucając bomb. Jeżeli w tej wojnie uszanowano coś manifestacyjnie, jeżeli gdzie złożono hołd kulturze Europy, jeżeli gdzie pozostał jakiś ślad wielkoduszności — wszystkich ludów uwikłanych w wojnę to właśnie i tylko tu.

Gestu tego nie oczekiwano ni w Rzymie ni w Europie. Ludność miasta w czasie rozpraw o nie przeżyła nadzieję, że może jeden tylko Watykan zostanie oszczędzony. Nikt nie jest dziś w stanie powiedzieć, ile wpływu na całość Rzymu wywarła „Opoka Piotrowa” i czy Niemcy nie wydaliby jednak bitwy w mieście, gdyby nie ona. Wspominam bunkry i strzelnice pobudowane w ciasnych ulicach starego Krakowa słysząc świst bomby rzucanej na kaplicę wawelską Króla Stefana, łomot pocisków, którymi

na chybił trafił zasypała Kraków armia niemiecka odstepująca okrężną drogą od Tarnowa i myślę, że jednak były wypadki, gdy manifestacyjnie deptano coś, co nie tak wspaniałe i głośnie a jednak to samo.

W każdym razie Rzym został oszczędzony całkowicie. Pierwszy raz od chwili opuszczenia Polski budzi się we mnie chęć obejrzenia czegoś, co nie związane z wojną. Przypominam sobie książki czytane za młodych jeszcze lat. W głowie ożywiają nazwy i obrazy mistrzów, budynków, galerii... Przechcęż to tu.

Ktoś kiedyś powiedział mi, czy też czytałem w jakiejś książce, że tak jak dawniej, tak i dziś do Rzymu wchodzi się przez Via Appia. Tam też kieruję swe pierwsze kroki. Na uboczu sławnej drogi są katakumby. Trzeba tam zejść. Nie byłbym Polakiem moich dni, gdybym pierwszy wizyty nie złożył podziemi. Towarzyszy mi jakiś polski mnich, przewodnik wieoletni polskich pielgrzymek. Nienatraczywy, skupiony, poważnym głosem wyłuszcza historyczny przebieg królestwa mroku. Tędy schodzili, w tej komorze słuchali kazań i nauk przy tym ołtarzu odbywał nabożeństwa jakiś święty orędownik ich sprawy, a tam groby ich, wydtubane w torfowisku i nawet rzeźbione sarkofagi.

Gdybym tu przybył dziesięć lat temu, mógłbym z pewnością ulec całkowicie potężnej sugestii katakumb. Długość i szerokość do głowy pytania nieznosnie rzeczowe, zestawienia jakieś buntownicze. Słaby, krótkowzroczny był wywiad Cezarów, skoro pozwalają im zbierać się tu całymi latami, chrzcili, żenić, sprawować obrządki, przechowywać prochy zmarłych. W czasach nazywanych ze spiskiem rozprawa gruntowniejsza. Nic nie zachowa ziemia po ludziach, którzy w długie wieki od powstania katakumb podjęli na nowo sprawę sprawiedliwości Bożej, tu rozpoczęta. Przywoziłem kiedyś z Katynia szlify jednego z Polaków, wstążkę Virtuti Militari garść ziemi z wielkiej mogiły. Nawet i to spłonęło podczas powstania razem z moim domem.

Żadna perswazja wewnętrzna nie jest w stanie zmusić do milczenia tej nedoręcznej pretensji. Opuszczam katakumby, skłócony nieco z Rzymem i po dawnemu nieufny. Ale Via Appia ma dwa wyloty: jeden ku miastu, drugi w orzeźwienie rozległą jak świat i jak świat nieogadą. Zarys dalekiej góry i szeroka pod nią dolina pocięta wędrowca. Siadam w cieniu cyprysa, wypoczywam i nie myślę o niczym. Jak to dobrze, że przyszłość jest przed nami zamknięta, jak dobrze, że nie wiemy, co przyniesie jutrzejszy dzień.

„Wracam do „domu”, to znaczy między swolch. Rzymska „baza” Polaków, to hotel Massimo d’Azeglio. Jeszcze nie doszedł do niego a już wita znajomy szmerek krajowy: kupuję... kupuję... kupuję... wszystko kupuję... To rozstawie-

ni wzdłuż chodnika Izraelicj spełniają po raz ostatni już chyba swą odwieczną misję ułatwiania życia Polakom. Kupują rzeczywiście wszystko: papierosy przydziałowe, whis-

ki, konserwy, walutę rzecz prości, odzież i szmaty, także i zegarek i obrączkę zachowaną na ostatnią godzinę. Przyglądam się, czy nie ujrzę jakiejś znajomej twarzy z ulicy

Mazowieckiej, gdzie także tyraliera cieni wyłaniała się z murów ulicznych i w murach znikają.

Ojczyzna przypomina się tu jakos bardziej bezpośrednio, żywiej, weslelej niż w katakumbach. „Flaki są?” — pytam ciągnąc przy bufecie dżin, nie tak znów cudzoziemski jak whiskey, gdyż jednak na sympatycznym jałowcu. „Dziś flaki!” — odpowiada bufetowa. Przy obiedzie najpierw wielka polityka, później gorzkie wyrzucenia o Drugim Korpusie, coś o „kasztanach”, coś o bitwach, przy kawie wspomnienia z dawnych lat i spór, gdzie rosną piękniejsze rzydze, w Karpatach czy na Wileńszczyźnie.

Rzymska Polonia na postoju jest rzecz by można wytrawniejsza, bardziej opanowana od rodaków w Ankonie. Pije się tu mniej, przy stołach dyskutuje ciszej, bo i ludzie ważniejsi i szpiclów kręci się cielemlara. Spór między akistami a Korpusem, tak gorący w Ankonie, tu nie zajmuje umysłów. Ucho polskiego Rzymu jest raczej nastawione na „Londyn” i na wieści z ambasady warszawskiej. Intryg działa tu sporo, także i materialnych, gdyż „mietanka polska ma tu specjalny rzymski dodatek do poborów.

Poza hotel Massimo życie wewnętrzne polskich rzymian nie sęga. Bo jeśli pod dachem YMCA zagnieździł się tajemniczy i milklivy Julian Poniatowski, prawie Kollataj sanacyjnych rządów, to co by poczynił i samyśiał, nie słychać. Herbalki u ambasadora Papego przy Watykanie mają charakter raczej już obrzędowy. „śmieszne to” — rzecze mi jeden z zaproszonych, ukazując na spodnie „łowickie” — „ale miło wspomnieć”.

A zresztą, cóż? Jest tu jeszcze i Melchior Wankowicz. Od czasu do czasu u któregoś z miejscowych pań z lepszego towarzystwa opowiada anegdoty krowskie.

Od czasu, gdy Książewicz wstepował na Kapitol, minął więcej niż wiek. Tyleż lat przeszło, gdy legionieci polscy błądzili po Rzymie, pełni nadziei i zakochani w wielkości. Później Mickiewicz stanął przed pa-pieżem ze sztandarem wolności ludów. Myśl polska przez długi czas nie powracała do tych wspomnień. Podjął ją dopiero Wyspiański w rozmowie Mickiewicza z Rapsodem na schodach Kapitolu. Przed samą wojną Wacław Berent napisał swój „Zmierzch wodzów”. Poeci, patrząc w przeszłość, mają przecucie tego, co ma przysięść.

Żołnierz 2 Korpusu, gdy go spotkamy w Rzymie, nie jest jeszcze „lazarone” z „Legionu”. Butny, ruchliwy, pewny siebie, promienieje dumą udreki, które przetrzymał, zwycięskich pobojowisk, przekonaniem, że ma w ręku broń, którą zdobył zaufanie świata, śmiga zawadiacko po mieście na służbowych dżipach, a mundur angielski, aż

na do utylitarny, przeznacza sposobem wiadomym tylko Polakom. Teraz na jaskawym postoju we Włoszech oczy śmieją mu się do kobiet, sklepów, kawiarni ulicznych. Z ludnością miejscową poczyna sobie z wysoką, ale życzliwie i szczerze. Troška, ta troška, która kiedyś nałożyła piętno na twarże wszystkich Polaków, nie zasępała mu jeszcze oblizca. Poszept o rychłym rozformowaniu Korpusu zatrąwa mu wieczorną chwilę zadumy. Bronią się wówczas winem. Rankiem przymierza mundur na nowo i barwi go naszywkami. Gdy go znów opadną zle wieści, rozmyśla, jak się przemknąć do generała Sulika, który, jak mówią, sprzeciwia się złożeniu broni.

Zapewne nie było chyba w Rzymie nigdy dzwaczniejszego gościa, jak żołnierz polski w owe dni. Nie wiem, jaką pamięć pozostawił po sobie i czy w ogóle pozostawił. Dla ludności wspaniałego Rzymu stanowić będzie zjawisko równie fantastyczne i niepojęte, jak ow Rapso polski, któremu Wyspiański kazał zamieszkać w murach Kapitolu i przemawiać językiem nam tylko zrozumiałym.

...W on czas, kiedy odlot ptaków, jakby zórawne klucze, wiodł Polaków, gnał Polaków, coraz dalej polskich szlaków, na te burze, na te burze... I wóhr w oczy i grań tułucze, zórawie się łamią klucze, zórawie się łamią skrzydła. Serce zhrzydło, miłość zhrzydła, ciało skłute serce strute: ot i połamane skrzydła... Ożary się syto sępy — miłość strzępy, serce strzępy...

Poeci patrząc w przeszłość, mają przecucie tego, co ma przysięść. Zaś Watykan za murami. Kiedy byłem w Ankonie, nosiłem się z myślą, aby żołnierz 2 Korpusu przybył na dziedzińiec katedry św. Piotra ze sztandarami i oddał wspaniałej świątyni na orzechowanie Matke Boska Kozieleśką. Gdyby ich nie chciano usłuchać, aby obraz złożył przed wielkim ołtarzem i odeszł.

Myśl była poetyczna a desperacka: wprowadzenie jej zbyt trudne i kłopotliwe dla młarodajnych ludzi. Chodząc po katedrze, na próżno szukałem miejsca, gdzie by skromny obrazek nie zginął. Chyba w jednej tylko kapliczce, u stóp Pietu Michała Anioła co to ma smutek i rzewność bliska światkom które lud polski stawia u polnych dróg.

I wreszcie... kaplica Svkstyńska! Znam ją niemal na pamięć, z książek rozpraw, reprodukcji. Wizyjnie jej malowidła prześladowały mnie przez całe życie, od wczesnej młodości.

Idę przez galerie Watykanu w nieprawdopodobnym blasku skarbów, arcydzieł sztuki, złotych stropów i malowanych murów. Żaden strzęcny wewnętrzny nie powstaje w obliczu tych bogactw, bo jeśli gdzie pozabawiono skarby materialnego ich znaczenia, jeśli gdzie doszło do głosu ich piękno bezinteresowne, to właśnie tu, w kresu ich ziemskiej wędrowki, gdy żaden handlarz sięgnąć już po nie nie może.

Kaplicę Sykstyńską zastaję pustą. Jest inna inna niż wszystko, co o niej wiedziałem i zapamiętałem. Żaden opis, żadna fotografia nie odda tego szumu wiecznego życia, którym tchną jej malowidła... Czy to jest sztuka? — myślę — czy to jest tylko sztuka, mistrzostwo reki i oka? Czy raczej olbrzymia wiźma, która jak gorący krzak Boga wia, ma wszystkie formuły i kanony i wstrząsa człowiekiem, który stanął z nią oko w oko?

Jest pod ścianą główną kaplicy ołtarzyk skromny, a na nim krzyż prosty z postacią Chrystusa. Nie wiem, kto figurę wykonał i ołtarz tu postawił. Jeżeli jednak przyjdzie do kaplicy ktoś, kto nie jest tylko turystą, czy znawcą sztuki, ukłęknie samorzutnie przed ołtarzem, rzucony niejako do stóp zamieszkałego tu ducha.

Ferdynand Goetel

### Z wystawy Adama Kossowskiego



CHRYSZTUS.

Ceramika.



Fresk.

KOMPOZYCJA.

(Zob. sprawozdanie na str. 2)

## NIEDZIELA PAMIĘCI OFIAR PRZEŚLADOWAŃ

Zjednoczenie Narodowe byłych deportowanych francuskich przypomni swoim członkom, aby ostatnią niedzielą kwietnia poświęconą została corocznie pamięci ofiar i bohaterów obozów koncentracyjnych. Dachau zostało urobinione 29 kwietnia, Mauthausen 5 maja, chociaż więc w Buchenwaldzie i innych obozach nastąpiło to nieco wcześniej, data ta jest bliska większości rocznic wyzwolenia, a co więcej, nie ma obawy, żeby zbiegła się z dniem Wielkiepnocy.

„Nic więc nie stoj na przeszkodzie — pisze w „Figuro” ojciec Riquet, znany ze swych rekolokacyjnych kazań w Notre-Dame — aby zwrócić uwagę na ten dzień na pamięć zdarzeń, które powinny pozostać dla przyszłych pokoleń tematem refleksyj, a dla pobocznych okazji do skupienia się i modlitwy.

Jak to przypominał ostatnio Paul Claudel — pisze dalej ojciec Riquet — pierwszy to raz niechybnie żydzi i chrześcijanie pomieszanani zostali w wspólnej ofierze i razem przelali krew, aby walcząc przeciwko temu samemu barbarochwalczemu barbarzyństwu. Rozmiar tego ludzkiego calopalenia przechodził imaginację. Piec krematorijny Rzeszy narodowo-socjalistycznej pochłonął jedenaście milionów. Dwa dziesiąta milionów ludzi przeszło koszar powolnej i okrutnej śmierci. Nigdy jeszcze dotąd prześladowania rasowe, religijne czy ideologiczne nie dokonały podobnej masakry, ani nie wypracowały podobnej techniki pozbawienia i zniewolenia tych, którzy im byli przeciwnikami.

Taki jest fakt, którego pamięć ostatnia niedziela kwietnia miałaby odjąć zachować i w tym celu polęczyć we wspólnym rozmyślaniu

wszystkich, którym wczorajsze ofiary są drogic. Zapewne, nie chodzi o to, by się gromadzić w nienawiści i przeczucie dymne zale. Byłoby to zapomnieć o Bozym nakazie, któremu i żydzi i chrześcijanie przypisują to samo znaczenie: Mojż jest zemsta i sprawiedliwość uczynię sam, mówi Pan.

Alc z jednej strony trzeba przypomnieć heroizm tych, co zaswiadczyli życiem o swojej rasie, swojej wierze, czy swoim ideale. Z drugiej należy zastanowić się nad tym, co umożliwiło w samym sercu kontynentu, który uważał się za szczyt cywilizacji, taką eksplozję barbarzyństwa.

Walcmy przeciwko złowrogim ideologiom, nie faucoryzujemy ich ani u siebie, ani gdzie indziej. Czuwajmy i nie dajmy się zaszkoczyć. Ale, śmiało podeptawczy wstrętne horyzonty rasizmu i nacjonalizmu, otworzmy nasze serca za światło nadziei na nową, zbrataną Europę w świecie pojednanym przez krew tyłu ofiar, pomieszanej z krwią naszego Zbawiciela”.

Na tę intencję odbyły się w Paryżu w ostatnią niedzielę kwietnia nabożeństwa w kościołach wszystkich wyznań.

\* Rozdział z książki pt. „Czasy wojny”.

MALARSTWO RELIGIJNE A. KOSSOWSKIEGO

Wystawa prac malarskich i ceramiki A. Adama Kossowskiego w Ashley Gallery (28, Ashley Place, S.W.1.) jest pierwszym „biuro-rowym” występowaniem w Londynie. Adam Kossowski studiował w Krakowskiej i Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, później we Włoszech, specjalnie malarstwo selenne — fresk i technikę „sgraffito”.

Wyleziony do Rosji w czasie wojny spędził dwa i pół roku w lagrach sowieckich. Po ugodzie zawartej przez gen. Sikorskiego wstąpił do Armii. Od 1942 r. przebywa w Anglii. Twórczość Kossowskiego obejmuje głównie tematykę religijną, ale wypowiada się on i w innych rodzajach malarstwa, np. w muralnej naturze, które na omawianej wystawie nie są reprezentowane.

Poswleciona wyłącznie dziełom religijnym, wystawa w Ashley Gallery zawiera wypowiedzi plastyczne artysty w pięciu technikach: oleju, akwareli, ceramice, rysunku, sgraffito. We wszystkich pracach czuje się głębokie, szczerze i bezpośrednie uczucie religijne, wypowiedziane z dużą kulturą artystyczną, przy doskonałym opanowaniu środków technicznych. Prace olejne, celowo prymitywizowane w formach, nawiązują częściowo do tradycji wczesnego malarstwa katakumb rzymskich, a równocześnie wiążą się z współczesnym stosunkiem do kształtu, kompozycji i koloru.

Wśród tych prac najcenniejszą wydaje mi się „Powołanie Apostołów Andrzeja i Szymona” obraz utrzymany w silniejszej tonacji szaro-brunatno-niebieskawej, ze szlachetnie kontrastującą żółtawą aureolą u głowy Chrystusa (Nr 6). Odrębną koncepcją kompozycyjną i barwną, wśród osmiu obrazów odznacza się „Pieta” (Nr 3), w której prostota form ciała Chrystusowego postaci Najświętszej Panny i trzonu krzyża układa się w zespół niespodziewany, dający przeżyte religijne.

Najmniej przekonująco wydaje mi się kompozycja p.t. „Nawrócenie świętego Pawła”. Akwarele, przeważnie szkice do ceramiki, jak np. „Włocławek Pański”, „Władca Pana Jezusa do Jerolimy na ostroku”, „Ukrzyżowanie” odznaczają się inwencją, wytwornym kolorytem i konsekwentną rytmiką.

MARIAN BOHUSZ-SZYNSZKO

SPRAWA TOWIAŃSKIEGO

W artykule „Słowacki a Towiański” X. K. Kantak pisze, że „dopiero Boy-Zelenicki obrazujący sprawdził go (Towiańskiego) do właściwej miary”. Trudno mi pogodzić się z taką oceną.

Złaniem moim pierwszy Towiańskiego i jego zasady należało z punktu widzenia dogmatów teologicznych i filozoficznych i jako człowieka ocenił X. F. Semenko (zmarły w Stanach), który odbył z nim w roku 1842 słynną trzygodzinną rozmowę w Brukseli, a w roku 1850 wydał o nim i jego doktrynie rozprawę w języku francuskim „Towiański et sa doctrine”.

Z rozprawy tej pozwole sobie zacytować jedno zdanie: „Skorom spostrzegł osobę, usłyszałem mowę i gesta rozpoznane, skoro dźwięk głosu dostał się uchem ciała do ucha wewnętrznie, duszy mojej, niespodziana, a nagła myśl mimowolnie się w głowie mojej zrodziła. Rzeczem do siebie: Ażeż to udatnie, komedia”.

Takie to było pierwsze wrażenie. Również w sposób obiektywny ocenił Towiańskiego Stefan Witwicki w swojej rozprawie „Towiańszczyzna”. O ile chodzi o Dejbłowny, wydaje mi się, że jej rola w ocenie X. K. Kantaka jest nieco przesadzona.

A. S. ORŁOWSKI

NAGRODA PISARSKA SPK

Stowarzyszenie Polskich Komitantów do rocznym zwyciężając przynajmniej w sierpniu br. na Święto Żołnierza nagrodę pisarską w wysokości £100 za pracę literacką, publicystyczną lub naukową drukowaną lub przedręczoną w rękopiśmie, reprezentującą kulturę polską wobec obcych. Praca może być napisana w języku polskim lub obcym.

CHRZEŚCIJAŃSKIE ZNACZENIE TURYSTYKI

W dniu 30 marca b.r. Ojciec św. Pius XII przyjął przedstawicieli włoskich organizacji turystycznych i wygłosił do nich przemówienie. Poniżej podajemy myśli, przewodnie przemówienia papieskiego:

Warunki podróży zmieniały się znacznie w wieku XX i odległości jakby przestały istnieć. Niemniej jednak i w czasach dzisiejszych turystyka jako podróżowanie dla przyjemności ma swoją wartość. Ale turystykę można rozumieć i w szerszym tego słowa znaczeniu, a jej wartości i skutki zmieniają się zależnie od sposobu podróżowania i od celu w jakim się podróżuje.

Motywy podróży jest nierzadko wyrazem zrzędzenia Boga i wyraźnym nakazem wewnętrznym — tak sżły na podbój dusz ludzkich św. Paweł, św. Franciszek Ksawery i zastępy misjonarzy; dla zanieśienia światła Ewangelii i na podbój cywilizacyjno-kulturalny sżły Vasco da Gama, Kolumb, Champlain. Inni podróżują mając na myśli odkrycia dla postępu wiedzy i dobra ludzkości.

Wielkie emigracje zaludniły świat; rozproszenia, opuszczenia krajów i szukania asyłu zliżyły ludzi. Wiara i pobożność wiodły pokutujących, ludzi spragnionych kontemplacji i rzęsy wiernych na miejsca poświęcone życiem i męką Chrystusa, do Rzymu, centrum katolicyzmu, do grobów Apostołów, męczenników i innych świętych, na miejsca uprzywielejonane przez objawienia Pana Jezusa i Jego Matki.

Ze szczególnym uczuciem zwraca Papież wzrok na „turystykę”, do której zostają przymuszeni ci, co

niekiedy lub zostają wypędzeni ze swych krajów, a eufemistycznie nazywani są „displaced persons”. Jakże są oni dalecy od podróży dla przyjemności! A jednak i ich trzeba wziąć pod uwagę jeśli chce się mieć pełny obraz turystyki.

Bez względu na motywy, cele, sposoby, warunki podróżowania i usposobienia podróżujących są pewne cechy wspólne, które charakteryzują turystykę i usprawiedliwiają chrześcijańskie na nią spojrzenie. Cechami tymi są: opuszczenie własnego miejsca zamieszkania na czas dłuższy lub krótszy, uleganie wielkim czy małym niewygodom, których prawie nigdy nie zabraknie, nawet w podróżyach najlepiej przygotowanych; zektnięcie się ze zwyczajami, tradycjami, przekonaniami lub uprzedzeniami całokształcie obcymi, lub zgoda sprzeciwiającym się zwykłej mentalności.

Wszystkie niewygody są równocześnie okazjami ćwiczenia się w tym, co zostało nazwane „ascetyzmem turystyki”. One mają bowiem jako swą właściwość wzbudzenie pewnej reakcji, która jest daleka zarówno od smutnej i blernej rezygnacji, jak od niecierpliwości i buntu ciała i duszy. Reakcja ta wywołuje w organizmie, temperamentem i charakterze zdrowy opór, fizyczny i moralny, który usprawia do pogodnego znoszenia przykrości i lekkości cierpienia turystyki, a przez to samo przygotowuje do znoszenia z mocą i odwagą przyszłych i nieuniknionych prób i doświadczeń życiowych.

Turysta przyzwyczajają się do ostrości i zmian temperatury, do przykrości związanych z miejscami

pobytu, do wyjątkowego umiarkowania w jedzeniu, do dziwacznych kaprysów kuchni. Jego charakter udoskonala się i łagodnieje w zetknięciu z innymi charakterami nie zawsze miłymi.

Inną korzyścią, o wiele ważniejszą którą daje turystyka, jest uszlachetnienie zmysłów poznawczych, poszerzenie ducha, wzbogacenie doświadczeń. W podróży widzi się, odczuwa i obserwuje. Rzeczy, które — w naturze, w sztuce, w zwyczajach regionalnych lub tradycyjnych miejscowych, — mogą początkowo wydawać się dziwnymi ażeby nie powiedzieć irytującymi lub śmiesznymi, okazują się, i to wiele z nich, jedynie różne, inne, często dobrze zrozumiałe, a nieraz nawet mądre. Ocenia się ich wartość i użyteczność i w ten sposób dochodzi się do osądzenia ludzi z coraz większą sprawiedliwością i ogólnie biorąc, z większą wyrozumiałością i dobrocią, co jest owocem lepszego wzajemnego zrozumienia. W praktyce doprowadza to także do szczerliwego usunięcia różnic nie tylko między jednostkami, lecz także między narodami, klasami, partiami. Bynajmniej nie dlatego, by robić ustępstwa w zasadach: to, co dobre, zawsze jest dobre; zło jest zawsze złem; prawda zachowuje zawsze swoje prawa wobec błędów; ale nabywa się przyzwyczajenia w rozpoznawaniu u drugich tego, co dobre i prawdziwe, a w sobie samym zarodków błędów.

Podróżując, obserwując, turysta uczy się poznawać lepiej tych, których, z daleka będąc, nie znał lub błędnie osądzał, a po powrocie do swego kraju szerzy dokoła siebie słuszniejszą i bardziej przychylną

ich ocenę. Jakby w nagrodę za to nauczył się, może nieświadomie, sądzić i oceniać sprawiedliwie swój kraj, swoją kulturę, prawdziwą religię. Turysta jest, jak to słusznie zostało powiedziane, ambasadorem moralnym: wielkie i piękne posłannictwo; lecz także jakżeż wielka odpowiedzialność!

Turystryka zazwyczaj wznosi jeszcze wyżej tego, kto umie uprawiać ją we właściwy sposób. W naturze, w sztuce, w zwyczajach, w każdym kraju turysta przyzwyczajają się widzieć, jakby przez zasłonę, — poza rzeczami, ludźmi instytucjami, — Boga, ich Stwórcę, ich Ojca ich suwerennego Prawodawcę. Turysta widzi, jak świat się porusza i jak Bóg go prowadzi. Komuż nie przychodzi na myśl „Voyage du Centurion”, dzięki której wielki pisarz Psichari, wnuk zbyt głośnego apostaty, doszedł do światła, do wiary, do życia szlachetnego uświęconego świętą śmiercią? I jak dzisiaj daje się coraz bardziej odczuwać skutek wielkich i na miarę epoki badań Karola de Foucauld! Bez wątplenia był to wyjątkowi „turyści”, którzy błyszczą jak gwiazdy na firmamencie, by kierować na ziemi krokami najbardziej „kromnych podróżników. Ci ostatni, bez pretensji, do współzawodnictwa, powinni skarbić sobie przykład i doświadczenie tamtych i kroczyć bezustannie po drodze, która prowadzi do większej sroawiedliwości, do żywszego światła, do gorętszej miłości, a jako gwiazdę przewodnią winni obrać sobie Te, do której wraz ze światła liturgią zanoszą błaganie: „Ażebyśmy wdzac Jezusa zawsze wspólnie się radowali”.

S Z A N I O

lam mu więc, by wziął u mnie pracę „boya”.

— Co to „boja”? — spytał Szanio rzeczowo.

— Nie wiesz, przecież byłeś u pani Zaleskiej...

— Służący? Duobrze, tylko jak pani Zaleska wróci, to ja do niej muszę...

— No dobrze, dobrze, jak wróci. — Wiedziałam, że nie wróci, wyjechała do Polski.

Od pierwszego dnia byłem z Szanią nadzwyczajna. Miał dużo wrodzonej inteligencji, był dyskretny, cichej, wydawałoby się, że leniwy i powolny, a jednak wszystko robił na czas. Można było śmiało zapamiętać na stole niedomknięty pigułek i wyjść z domu na parę godzin. Szanio wartości większej do pieniędzy nie przywiązywał. Nawet swoje miesięczne wynagrodzenie brał i wydawał obojętnie. Cieszyło go zawsze bardzo, gdy ktoś zaglądał do nas na pogawędki. Z wrodzoną Indusom gościnnością, nie proszony o piecyku, stawił czajnik na herbatę i leciał do cukierenki po ciastka na kredyt. Nie myślał zupełnie o tym, że sam sobie dodaje roboty i że przez to później odejdzie do domu.

W Indiach dzień zaczynał się wcześniej. Im wcześniej, tym lepiej, bo wśród rozpalonych dni dekanckich jedynie rankiem można było oddychać pełną pierśią. Szanio przychodził o piątą rano, ale nie było zupełnie słychać, że zabiera się w kuchnię do swej codziennej roboty. Gdyby nie Brynko — szczeniak, co się zawlaził na sandały Szania stawiane pod progłem, nie byłby mącilo porannej ciszy domu pograżonego w twardym śnie. Piętnastego dnia, gdy się Szanio do nas najął, Brynko porwał jego sandały i zjadł je tarmosząc jednym z nich wpał do sypialni. Obudzona tym hałasem otworzyłam oczy i ujrzałam Szania bezszelnie poruszającego się po pokoju. Zobaczył, że nie śpię.

— Ten... jak nazwisko? — tu wskazał na szczeniaka.

— Brynko, — Pan czy pani? — Pan... — On zabrał mój sandał... — Brynko, oddaj! — Brynko ani myślał. Wtedy Szanio powiedział: — Bo on je dużo mięsa, dlatego taki zły, jemu nie dawać mięso, ma chleb, mleko... — A ty nie jesz mięsa? — Otrząsnął się ze wstrętem: — Umarłego Hindusa nie je... — A u twojej pani Zaleskiej koludunów nie jadesz? — Nie, tylko kisiel i botwinka — powiedział lek ze entuzjazmu.

— Nie lubisz polskiego jedzenia? — Nie jest dobre, nie piecze. — Kupiam nam ryż i „kari” i Szanio to sobie co dzień na obiad przyrządzał. Bardzo to ładnie pachniało. Zachełtało mi się spróbować.

— To ja musiałam dać „kari” — rzekł Szanio.

Na obiad podał mi miseczkę jarzyn w sosie „kari” z ryżem. Śmiało podniosłam łyżkę apetycznej strawy do ust i stało się coś strasznego; uwięźliło mi to w gardle, wydawało się czymś nie do przeknięcia, w smaku podobne do rozżarzonych żużli. Poczuliśmy jak mi gorąco uderza do głowy i moczając się bohaterko, przeknęłam potrawę induską. Ostrzegłam męża, krztusząc się: — Lepiej nie próbuj, to na dwunastnicę chyba nie wskazane...

Z czasem rozsmakowałam się w „kari” i nieraz już tu, w Londynie, gdy chcę się ludzić, że mam Szania do pomocy w gospodarstwie, robię sobie ostre „kari” z ryżem. Po codziennych rannych igraszkach Brynka z sandałami, drzwi kuchenne lekko skrzyrzyły i zjawiała się matka Szania z mlekiem. Szczeniak zszweszwył mleko zapomniał o zniewidzionym obuwu i wlepił jakomeś czarne oczka w dzban na głowie Induski. Zaczynała się wtedy sprzeczka syna z matką. Chodziło o mleko. Szanio matce nie dowierzał, Z powtarzającego się często słowa „pani” — woda w języku Marati, domyslałam się, że syn ma pewne zastrzeżenia co do sudotwórczych metod matki, usi-

lującej z porannego udoju nędznej „rowiny osiągnąć ilość litrów rasowej holenderki. Ale matka jego, odegrawszy raz przede mną wymowną pantomimę, przekonała mnie, że zmagając się ciężko z pokusą, bohaterko przechodzi koło biotninistej rzeki, nie dolazszy z niej ani kropki do dzbanuszka dla nas przeznaczonego. Widocznie po pewnym czasie zle dało za wygraną i przestało kusić starowinkę, bo mleko nie tylko zaczęło się zsiadać, ale nawet podchodzić śmietanką. Dobrze było mieć Szania. Któregoś jednak z jednostajnie bluszczących słoneczną pogodą dni, zjawił się rano zaplany, z zawiniątkiem na głowie.

— Co to? Szaniu chcesz odejść...? — Uhu, uhu... panj Zaleska, uuu... Zapomniałam, że wyjechała, więc przestraszona, by nie rzucił służby, pytałem spokojnie: — Co to, pani Zaleska lepsza ode mnie? — Lepsza... uhu... uuu... — Przecież nieraz na ciebie krzyczała. — Lepsza. — No, jak lepsza, to idź sobie do niej!

— Uhuuu... nie... mogę... ona już nie przyjeździe z Polski, pani Obuchowiczowa list dostała i powiedziała, że pani Zaleska głodna... uhuu... — Zł ci jej? — Zł. Mamusia (tak nazywali panią domu) taka gruba, jak nie ma co położyć do brzucha, to umrze przedko... Ja paczka z ryżem chcę jej posłać. — Zdjął zawiniątko, w którym prócz ryżu była prawdziwa polska suszona kiełbasa.

— Przecież ty kiełbasy nie jadasz. — Ale mamusia je dużo, bardzo lubi kiełbasa... W tym momencie Brynko zaczął z wielką przyjaźnią machać ogonem i za jego to, zdaje się, sprawą pod wieczór kiełbasa znikła z wężka. Od tego też czasu przestał znęcać się nad sandałami.

Szanio był to służący z inicjatywą. Wprawdzie, o ile chodziło o branie na kredyt większej ilości ciastek dla gości, nie zachwycałam się zbytnio jego roztropnością, to zwykle jednak imponowała mi pomysłowość chłopca. Tak było na moje imię. Szanio od siebie przyniósł bukiet kwiatów (które jednym rzutem oka oceniałam jako pochodzące z ogródków polskich, notorycznie przez niego nachodzonych mimo wielokrotnych obietnic poprawy) i koszyczek owoców: złocisto-różowe mąnga i lśniące ciemną zielenią papaje.

— Owoco są od tego pana gdzie jest Rafałek — wyjaśnił Szanio. Rafałek, to bierzmonwane vallvadkie bo chłopak był ziemkiem Szania, a naprawdę miał na imię Ragu.

Bo — tłumaczył mi Szanio — Rafałek dostał od swego pana pieniądze, żeby kupić tuberozy dla panny Irki, a dla pani... — A dla mnie pewnie miał kupić czerwone różę? — Nie co bądź, tak pan powiedział. Rafałek nie wiedział jakie

Z E Ś W I A T A KATOLICKIEGO

PAPIEŻ O MEDYCYNIE

26 kwietnia Papież przyjął na audyencji uczestników III Kongresu Europejskiego Gastro-Enterologii. Mówiąc o chorobach narządów trawienia, przyczynach i leczeniu, Papież zaznaczył, że lekarze tych chorób stwierdzają każdego dnia zgubne skutki dzisiejszego życia coraz bardziej gorączkowego, a ich fachowość zobowiązuje ich do postępienia rytmu nienormalnego życia i niereakcjonalnego odżywiania się wielkiej części ludzkości. Lekarze ci nie mogą nie uznać istnienia praw naturalnych wyżywienia, ustanowionych przez Stwórcę i zdając sobie sprawę, że tych praw nie narusza się bezkarnie. Nauka chrześcijańska znać harmonię natury ludzkiej, nie lekceważy wysiłków gastro-enterologii, ponieważ chodzi tu nie tylko o pomnożenie sił fizycznych, lecz także o większą wydajność pracy intelektualnej o wyższą równowagę, od której można zawsze oczekiwać, że laska Boga że wola człowieka osiągnie większą doskonałość i lepszą skuteczność w spełnieniu dobra.

Przychodzi na pamięć przypomnienie o talentach i o chwale przyznanej przez Zbawiciela pracownictwu sżduze; naszymi zasadniczymi talentami są ciało i dusza ściśle ze sobą zjednoczone, ściśle zależne jedno od drugiego; nierównym naszym obowiązkiem jest uzyćcie ich na chwałę Boga i dobro bliźniego. Lekarzom przypada wielkie zadanie, aby być prawdziwym współpracownikami Boga w obronie i rozwoju Jego stworzenia. W tym znaczeniu Pismo święte mówi: o lekarzu, że „Bóg go stworzył” (Eklezjaśtyk 38. 1). Bóg go stworzył jako narzędzie swego miłosierdzia, dla łagodzenia cierpień braci, jako przewodnika i doradcę w celu uczenia ich mądrości. Lekarz jest dobrodziejstwem Boga; ze względu na to ma prawo nie tylko do zaszczytów i poważania ludzi, lecz także do ich wdzięczności i zaufania.

Praca misjonarzy a medycyna. W ósmym tomie ukazującej się włoskiej encyklopedii katolickiej zamieszczono reprodukcje rekopisu kardynała Massaja, w której czytamy: „Apostolstwo Chrystusowe nie pracuje poza swą dziedziną kiedy oddaje się leczeniu... ta sama miłość, która skłoniła Boga do stworzenia nas, skłania Go także do leczenia nas, gdy jesteśmy chorzy”.

Chronologia Nowego Testamentu. Ukazała się obszerna praca w języku łacińskim (przeszło 600 stron dużego formatu) Damiana Lazzarato: „Chronologia Chrystusa”. Autor dochodzi do następujących wniosków: Chrystus Pan przyszedł na świat 25 grudnia 748 roku od założenia Rzymu, na dwa lata przed śmiercią Heroda, czyli 6 lat przed przyjęciem obecnie sposobem obliczenia ery chrześcijańskiej; ochronologia została 25 września 778 roku od założenia Rzymu czyli w 25 roku ery chrześcijańskiej i umarł na drzewie krzyża 25 marca 782 roku czyli w 29 roku ery chrześcijańskiej mając lat 33 i 3 miesiące, no 3 i pół lat publicznego zawodu nauczycielskiego. Św. Paweł nawrócił się w 30 roku ery chrześcijańskiej a męczennostwo poniósł w tym samym dniu, co i św. Piotr: 29 czerwca 67 roku. Św. Piotr przybył do Rzymu w roku 42.

Jak wiadomo data przyścia na świat Pana Jezusa została błędnie obliczona w VI wieku przez męcha Dionizjusza Małego.

Rozbudowa rolnictwa w krajach misyjnych. W połowie kwietnia odbyła się w Waszyngtonie 3-dniowa katolicka konferencja nad rozbudową rolnictwa i przemysłu zacyfanych kulturalnie krajów misyjnych. W konferencji wzięło udział 1600 delegatów z 42 stanów amerykańskich oraz przedstawiciele Narodów Zjednoczonych, departamentu Tu Stanu i Rolnictwa.

Msgr Ludwik Ligutti, przedstawiciel Episkopatu amerykańskiego oraz papieski obserwator przy Narodach Zjednoczonych, zwrócił uwagę na wykorzystanie punktu 4 programu Trumana do ekonomicznej odbudowy krajów misyjnych. Zdanem ks. Ligutti'ego p. 4 umożliwi w wielu zacyfanych ekonomicznie krajach nie tylko większą produkcję rolniczą i zabezpieczy zatrudnienie tubylców, ale przede wszystkim podniesie na odpowiedni poziom godność ludzką.

Ks. Fryderyk McGuire z sekretariatu Misji podkreślił, że wysłani obecnie misjonarze doskonale są przygotowani technicznie dla udzielania tubylcom pomocy w sprawach sanitarnych, rolniczych mieszkaniowych i przemysłowych. Program szolenia misjonarzy w różnorodnych zagadnieniach praktycznych postępuje naprzód i z każdym rokiem misjonarze nowi są lepiej przygotowani.

Rząd amerykański zainteresowany jest poważnie rozwojem krajów zacyfanych. Podczas konferencji sekretarz Stanu Acheson odczytał stwierdzenie Trumana, który stwierdza, że Stany Zjednoczone dolożą wszelkich wysiłków, by dopomóc do rozwoju zamorskich krajów.

PIELGRZYMKI

1) BARCELONA (Na Kongres Eucharystyczny) Pielgrzymka ta odbyła się pod osobistym patronatem i kierownictwem Ks. Infulata B. Michalskiego. od 25 maja do 4 czerwca. CENA £29.10.0 wraz z tygodniowym wypożyczniem nad morzem (w Sittges) — Z uwagi na trudności mieszkalowe w okresie Kongresu należy n a t y c h m i a s t i przesać zgłoszenie uczestnictwa.

2) LOURDES CENA £22.17.6 al od 8 do 14 czerwca e od 10 do 16 sierpnia bl od 6 do 12 lipca dr od 31 sierpnia do 6 września ZOŁOSZENIA PRZESYLAĆ JAK NAJWCZĘSNIEJ. Ostatni termin jest: 3 tygodnie przed każdą pielgrzymką. Blisze informacje i zgłoszenia należy kierować WYŁĄCZNIE do Biura Podróży

DAVIES, TURNER & CO. LTD. 4, LOWER HELGRAVE STREET, LONDON, S.W.1. (kolo stacji Victoria) Można pisać po polsku. Na syczenie P.T. Klientów firma załatwia dodatkowo sprawy paszportów i wia.

ZYGMUNT TURKIEWICZ

# SZLAKI POWROTNE DO ZDROWYCH ŹRÓDEŁ (O DZIAŁALNOŚCI ARTYSTYCZNEJ ELEONORY PLUTYŃSKIEJ)



Motyw „zwierza” — naturalne kolory wełny białej i czarnej (ciemno-brunatnej)

Dzieło Eleonory Plutyńskiej, dzieło odrodzenia polskiej twórczości ludowej, jest już dzisiaj powszechnie znane w Kraju, a również za granicą. Tym bardziej odczuwam potrzebę wyjaśnienia jednego zdania, które znalazło się w pięknym esyaju Jana Białostockiego pt. „Don Kiszot malarzkiej formy” (ZYCIE nr 14/15) fałszywie stawiając s'osunek Plutyńskiej i wszystkich z nią współpracujących ludzi do spraw twórczości ludowej. Nie było i nie ma chyba w całej Polsce większego niż E. Plutyńska przeciwnika „wymyślania wzorów regionalnych tkanin”, jak nie ma człowieka równie bez reszty oddanego sprawie polskiej twórczości ludowej w ogóle, a tkactwa w szczególności.

Rezultaty pracy tej wspaniałej polskiej postaci już na długo przed wojną przekroczyły ramy eksperymentu i były wydarzeniem bez precedensu w tej dziedzinie, a o głębokości i trafności jej założeń niech świadczy fakt, że w obecnej polskiej rzeczywistości nie tylko nie poniechano tej gałęzi wytwórczości, lecz jest ona kontynuowana w tym samym szlachetnym duchu, nawiązując do najlepszych dawnych tradycji.

Nie wydaje mi się, by ktokolwiek dzisiaj w Polsce mógł poprowadzić tę pracę bez Eleonory Plutyńskiej.

Piszę te słowa jako naoczny świadek jej poczynania, jeden z wtajemniczonych i wproważonych w dzieło na parę lat przed wybuchem ostatniej wojny. Może dzisiaj wydać się oczywiste i zupełnie zrozumiałe, że piękne harmonie drogocennych barw starych tkanin pochodzą z koszenia, indyga i żółtego drzewa a motywy wzorów prostych i szlachetnych powstały jako rezultat wieloletniej współpracy warsztatu i tkacza. Ale jeszcze ćwierć wieku temu nie było to takie jasne dla wszystkich.

Zaczęło się od tego, że grupa studentów warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, studiująca tkactwo artystyczne na Wydziale Architektury Wnętrza, rozpoczęła swoją działalność w swych pracach. Nie chciano pogodzić się z faktem, że osiągnięcia tej wytwórczości po...

starymi tkaninami ludowymi. A przecież byli to młodzi artyści, którzy wkładali w swe dzieła duszę i wiedzę. Przede wszystkim rzucała się w oczy różnica samej powierzchni tkaniny. Stare kilimy mianowicie posiadały piękny, głęboki kolorystyczny i barwny charakter, który w sobie łączył w sobie czystość i bogactwo kolorów, co w sumie tworzyło nieodpartą czar faktury materii tkackiej. Dociekania tych tajemnic potraktowane poważnie przez jedną ze studentek, jaką była wówczas E. Plutyńska, zaprowadziły ją nie tylko do znalezienia odpowiedzi na postawione sobie pytanie, ale zapoczątkowały okres współpracy inteligentnego artysty z ludem, od wieków uprawiającym swoją sztukę, wyrosłą z potrzeb codziennych, a zharmonizowaną z jego stylem życia.

W każdym wielkim poczynaniu ogromną rolę odgrywa środowisko i odpowiednia temperatura, atmosfera, postrzegająca umysł w ciągłym napięciu i zainteresowaniu zagadnieniem. W tym wypadku nie bez znaczenia były kontakty rodzinne z Eleonorą. Jej ociec, Stanisław Szczepanowski, był świetnym pisarzem i zasłużonym pionierem polskiego naftiarstwa; jedna z siostr, Wanda, ukończyła studia chemiczne; druga, Zofia, była żoną Stefana Szumana, znanego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego; zaś p. Eleonora, Antoni Plutyński, często bywał w Londynie — co było szczęśliwą okolicznością dla sprawy, o której piszę. — Każda z tych osób przyczyniła się w jakimś stopniu do stworzenia dzieła, które po dzień dzisiejszy trwa, rozwija się i ma przed sobą wielką przyszłość. Terenem na którym wszyscy się spotykali, była sadyba Plutyńskich w Zalesiu Górnym, uroczej podwarszawskiej miejscowości. Tam poznałem p. Eleonorę, wymienione wyżej osoby i parę innych jeszcze, z dawnego środowiska warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Spotkać wszystkich na raz można było tylko na święta lub z okazji uroczystości rodzinnych.

Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie wywarły na mnie po raz pierwszy oglądane przepiękne tkaniny, zgromadzone w takiej ilości i dobrane tak starannie w domu Plutyńskich. Pamiętam szlachetny, głęboki kolorystyczny i barwny charakter kilimów o rytmicznie powtarzających się motywach obok jakichś nowszych tkanin z szerokimi płaszczyznami kolorowymi indyga i koszenia. Wydaje mi się, że od tej chwili datuje się mój stosunek do tkaniny jako do dzieła sztuki, które można kontemplować z równym powodzeniem jak dzieła sztuki malarzkiej i rzeźby.

Coż to takiego jest koszenia, indygo i żółte drzewo? Zanim wynaleziono aniliny, które tak gruntownie przyczyniły się do upadku dobrych tradycji tkackich, malutki zasuszony „robaczek” z rodziny pluskwaków, żyjący na korzeniach agawy, zwany koszenilą, był przedmiotem handlu, roznoszonym przez wędrownych kupców po wioskach i pożądanym przez każdą dobrą gospodynię, która używała te owady do barwienia wełny. „Robaczki” te ucieierała na proszek, który, stosowany z odpowiednimi zaprawami barwiarskimi, barwił wełnę na wszystkie odcienie czerwone, od najdelikatniejszych różów zimnych przez ciepłe tonacje koralone, jarzębinowe, purpurowe, malinowe do najciemniejszych fioletołów. Przy czym po utrwaleniu procesu barwienia kolor był trwały na dotyk i na działanie słońca i wilgoci. Nie płowiał i jeżeli z biegiem czasu zmieniał się nieco, to tylko na ton szlachetniejszy.

Indygo jest egzotyczną rośliną, która po skomplikowanym proce-

sie chemicznym barwi włókno zwierzęce na wszystkie odcienie błękitu, od najjaśniejszych niebieskich poprzez szafiry do ciemnych granatów wpadających w zimną czerń. I, o dzwo, barwnik ten ma to do siebie, że po latach kolor ubarwionej nim wełny nabiera głębi, ponieważ proces barwienia nim polega na utlenianiu.

Żółte drzewo to po prostu porąbana na drobno meksykańska morwa. Specjalnie zaprawiona wełna, gotowana z tym drzewem, nabiera pięknych żółtych odcieni.

Te trzy podstawowe naturalne barwniki, uzupełnione kruszyną, odcia jak też wzbogacone naturalnymi kolorami surowej wełny, zależnym od maści barana, dają wspaniałe harmonie, które odnajdujemy w najstarszych pasiakach chińskich, zapaskach i kilimach, przechowywanych na dnie skrzyń w chałupach naszego ludu.

Cała ta mądrość naturalnego barwienia, jak też piękna tradycja tkania wzorów wykształconych długowieczną praktyką ludu — którą przy użyciu szlachetnego tworzywa i przy ograniczonych możliwościach warsztatu tkackiego stworzył formy o wysokiej wartości artystycznej — zaczęły z biegiem czasu zanikać, ustępując miejsca modzie miejskiej, tanim wzorkom i anilinie. Miejsce tradycyjnych barw zajęły raskudne, jaskrawe barwniki syntetyczne, plowiące na słońcu i puszczające w praniu, zaś odwieczne wzory zastąpiono bezmyślnym imitowaniem wytworów fabrycznych i wzorów miastowych, używając do tego własnych warsztatów i bardzo dużej nieraz sprawności technicznej.

Taka to zachwieszona sytuacja w tkactwie ludowym zastała Eleonorę Plutyńską w początkach swej pracy, gdy zaczęła z czułością smuczyć ziemię i smod chwastów dobywać młode, świeże kiełki. Zanim jednak doszło do tej wdzierającej roli ogrodniczki należało przede wszystkim odnaleźć i oznaczyć to wszystko co zostało zaopieczętowane w zapomnianej i zaniedbanej XIX stulecia. Nie było to rzeczą łatwą.

W odrzebywaniu zagubionych szlaków bardzo pomocne okazały się prastare zwyczaje i obyczaje wsi polskiej. W moich wyprawach do



Motyw „krzakki” — kolory wełny naturalnej jasno-siwej na brunatnym tle — kwiaty różowo-żółte (kruszyzna)

csiedli wiejskich na kresach, odbywanych z p. Plutyńską, przysłuchiwałem się jej opowieściom o tych pierwszych pionierskich próbach dotarcia do prawdy. Opowiadała o tym, jak to najpierw Stefan Szuman w swoich wycieczkach odkrył okazy starych tkanin i w zetknięciu się z ludem dowiedział się, że aby zrobić tak piękną rzecz, trzeba mieć te dawne barwniki, których teraz dostać nie można i że młodzi to już nawet nie potrafili by.

\*) Rezultatem badań prof. Szumana była książka „Dawne kilimy w Polsce i na Ukrainie”.

W następnych numerach ZYCIA ukazały się m.in. następujące artykuły i utwory literackie: Alfonsa Bronarskiego: *Misja i kryzys uniwersytetu*, ks. Włodzimierza Cieńskiego: *Organizacja Kościoła katolickiego*, Marii Czapskiej: *Taki był, Jędrzej Giertycha: W obronie katolickiej Hiszpanii*, Zofii Kossak: *Rozmowa o Przymierzu*, Jerzego Dołęgi-Kowalewskiego: *Posiew niedawemny*, Jana Laterańskiego: *Człowiek w stoisku (na marginesie wystawy mediolańskiej Van Gogha)*, Mieczysława Lurczyńskiego: *Romans warszawski*, Teodozji Lisiewicz: *Życie św. Teresy z Avila*, Michała Pawlikowskiego: *Zmierzch materializmu w naukach przyrodniczych*, Zofii Romanowiczowej: *Pielgrzymka do Chartres*, Stanisława Sopińskiego: *Moralność o bombie atomowej*, Tadeusza Staraka: *Aktualność nauk biskupa genezyckiego i Jeszcze na śladach Słowackiego w Genewie*, Floriana Smieja: *Hiszpańska bryka mozarabska*, Janiny Węgrzyńskiej: *Kościół katolicki: Pasja z Cergowej Góry*, Marii Winowskiej: *Śmierć i zmartwychwstanie*, ks. dra Marcina Wojciechowskiego: *Tajemnica Eucharystii i Corpus Polonicum Assumptionis*, Wiesława Zylńskiego: *Prawo a Kościół w Polsce*.

Jeden z numerów ZYCIA poświęcony będzie powieści biblijnej Zofii Kossak „Przymierze”, zaś nr. 22/258 lauretom Katolickich Nagród Literackich.

Te cenne spostrzeżenia profesora stały się później punktem wyjścia Plutyńskiej w jej szlaku powrotnym ku zdrowym źródłom.

Po długich i żmudnych studiach w ścisłym kontakcie z najstarszymi ludźmi w wsiach, po zapisaniu mnóstwa opowieści na tematy tradycji tkackich, nie pozabawionych tajemniczości i elementów magicznych natrafiono na tkacza, który posiadał księgę ze starymi przepisami barwiarskimi. Dowiedzieć się o księgę, to nie znaczy ją posiadać. Chłop należał do „postępowych”. Sam tkal według wzorków fabrycznych anilinami i w imię postępu nie chciał zdradzić „przestarzałych” przepisów. Wreszcie po długich naleganiach oddał bezcenne przepisy z pogardliwymi słowami: „Chcecie w wieku motoru podróżować wołami” — to trudno!

Były więc przepisy. I tu wyczytano takie dziwne, jak krematar, koszenia, żółte drzewo. Zaczęły się więc wędrowki po najróżniejszych sklepach z początku w stolicy, a potem w całym kraju, w poszukiwaniu tych cudów — lecz bez skutku. Pamiętam taką epizod tego odcinka opowieści — żywej, nowej tradycji tkackiej — gdy ktoś w poszukiwaniu tych barwników zapuścił się na Nalewki i w jednym z najstarszych sklepów tej dzielnicy, której kupcy — wszakże handlowali wszystkim, zapytał sędziwego sprzedawcę o koszenie. Staruszek, kazawszy sobie powtórzyć kilka razy to słowo rozplakał się ze wzruszenia, po czym wyznał, że nawet nie słyszał już tego wyrazu od kilkudziesięciu lat.

Gdy zawiodły poszukiwania w kraju powierzono misję poszukiwania upragnionych substancji mężowi p. Eleonory, Antoniemu Plutyńskiemu, który — jak się rzekło — często wyjeżdżał do Anglii. Tym razem poszukiwanie zostało ujęte w inny sposób, a mianowicie, P. Plutyński przesłał pierwszą paczkę z barwnikami.

Były więc już stare przepisy naturalnego barwienia i potrzebne barwniki. Przystąpiono więc do pierwszych prób.

Rezultat przesyłał oczekiwania. Otrzymaone kolory były bez porównania szlachetniejsze od aniliny. Zabrano się więc entuzjastycznie do tkania w nadziei, że teraz dopiero

wyniki będą zadawalające. Ale jeszcze raz artystów spotkał zawód. Pokazało się, że wełna, jakiej użyto, przygotowana była fabrycznie, podczas gdy lud preparował sobie wełnę sam. Zrozumiano, że nie jest obojętny sposób przedzenia ani gątniek wełny. W międzyczasie spostrzeżono, że nowe piękne kolory zmieniają się, nie są trwałe. Praktyka pokazała, że posiadanie cennych barwników i starej księgi z receptami, to jeszcze nie wszystko. Należało opracować metodę barwienia. Teraz przyszedł czas, by wykorzystać chemiczną wiedzę i naukowy sposób pracy p. Wandy Szczepa-

nowskiej. Metoda, jaką wszyscy wtajemniczeni posługują się dzisiaj i osiągają przepiękne wyniki w postaci trwałych harmonii barwnych, opracowana została przez p. Wandę. Ale tylko niektórzy wiedzą, ile poświęcenia, bezinteresowności i całkowitego oddania sprawie kosztowało to odkrycie. Najbliżsi przyjaciele p. Wandy mawiali o niej w tym czasie, że „sypia w wannie”, a ludzi chcących ją zobaczyć odsyłano na dach domu, gdzie wystawiała specjalnie spreparowane próbki barwionej przez siebie wełny na działanie deszczu i słońca. Tak więc pracując i pomagając sobie wzajemnie grupa entuzjastów posiadała wszystkie elementy, składające się na piękną tkaninę. Większość z nich zgrupowana w stowarzyszeniu pod nazwą „Ład” i współpracująca z uczniami A.S.P. w Warszawie zadziwiała stolicę swoimi skosztowanymi dziełami do ostatnich dni przed wybuchem wojny.

Eleonora Plutyńska nie wystarczała jednak współpracą z „Ładem” i komponowanie wyszukanych użytkowych tkanin o bogatej fakturze i harmoniach kolorowych. Jej myśl powracała do szlaków, którymi kroczył Szuman.

Marzyła jej się „perebory poleskie” i pięknie wyszywane koszule wiejskich kobiet. Postanowiła wrócić na wieś w poszukiwaniu „kwiatu paproci”. Cudowny ten kwiat znalazła, co — jak wiadomo — udaje się tylko wybranym; trzeba znać p. Eleonorę, jej głęboką kulturę, umiowanie piękna, odczucie człowieka a przede wszystkim jej prostotę, która ujmowała wszystkich. Niedawno rozmawiałem z mężem p. Plutyńskim w Londynie. Wspominaliśmy pracę p. Eleonory, mówiliśmy, jaka to trudna rzecz i ile wymaga taktu na co p. Antoni przerwał mi słowami: „A bo proszę pana moja żona to wyjątkowy człowiek, wyjątkowy — i to wcale nie moja zasługa, że ona jest taka...”

Sobie tylko znanym sposobem docierała do ludzi najprostszymi, żyła z nimi pod jednym dachem, w warunkach najprymitywniejszych, dzieląc wiejską biedę przedwojnową, potrafiła zapalić ludzi swoją ideą, wskrzesiła stare piękno i na tej bazie tradycyjnej zaczęła zupełnie nową myśl — formowania z możliwości technicznych krosna coraz to nowych i nowych motywów, tworzących bogatą skalę przepysznych ornamentów rytmicznych, budujących nowe płaszczyzny drogocennych materii. Motywy „słoni”, „Arzaków”, „włnogron”, „zwierza”, „gwiazdek” i wiele różnych nie nazwanych splecionych z nitkami jasno-cytrynowych i malinowych lub jasno-siwych i brunatnych i znowu niebieskich z czerwonymi, barwionych brzoza koszenia, kruszyną i indygiem — to nie koniowanie starych wzorów; to narodziny nowej, pięknej tradycji tkackiej.

Skromnie, bez rozgłosu, stobodnie odczyszczała Plutyńska z fałszywych naleciałości warsztat do warsztacie, pozyskując dla swej idei tkaczy całych wsi. Przemierzała Polskę z północy na południe i ze wschodu na zachód w upalne lata i srogie zimy, znajdując czas na organizowanie zbytu wyprodukowanych dzieł w bazarach sztuki ludowej, jak też na branie udziału w uroczystościach weselnych swoich tkaczy i trzymanie ich dzieci do karczku.

Dowiedziałem się, że w tych tragicznych czasach okupacji p. Eleonora wyrabiała wspaniałe, wzorzyste swetry wełniane. Dzisiaj wychwyte ona młode pokolenie artystów polskich w tej samej uczelni, gdzie kiedyś przeżywała swoje zwątpienia i zachwyty. Kontakty z ludem — ciągle żywym źródłem natchnień — utrzymywała nadal wyjeżdżając w teren (jakże obciążony na wschodzie!) — w czasie ferii i wakacji szkolnych.

I znowu, jak ongiś odcieły ją w jakiejś chacie od najbliższej poczty i stacji kolejowej na tygodnie. Zazwyczaj w tym czasie siedziała przy krosnach obok swych tkaczy, dopomagała w formowaniu nowych sensacji tkackich. A może, dawnym swym zwyczajem, wywerywała na skrzypcach albo wolonozeli — Baha lub Haendla — bo i to też potrafiła. Zwłaszcza lubi grywać w kwartecie kameralnym. „bo to — mówiła mi kiedyś — jest się cząstką zespołu, z którym trzeba się zgrać, nie jest, gdy jeden z instrumentów wyodrębnia się z orkiestry”.

Idea pracy zespołowej, która przekazywała nam osiągnięcia na miarę katedr gotyckich, podjęta została na nowo przez Eleonorę Plutyńską. Jak ta praca wyglądała z bliska, opowiada sama w artykule „Dywany sokolskie”, z którego przytaczam zakończenie:

„Wczesnym latem 1934 r., gdzieś koło św. Jana — wybrałam się w okolice Sokółki, na poszukiwanie... kwiatu paproci.”

Chodziło o podwójne tkaniny i rozwiązanie zagadnienia: dlaczego tak piękne ongiś, są zle dzisiaj? Oglądałam piękne stare egzemplarze, wyciągnięte ze skrzyń babek, których wnuczki odrabiali z zapalem „kapy” białostockie. Wedrując tak od chaty do chaty poznałam Adolfa Jaroszewicza, którego żona była pierwszą tkaczką okolicy. Ale i on tkal „dywany”, co było wyjątkiem w tych stronach. Nauczyłam się tego, chcąc pomóc żonie. On pierwszy i jedyny od razu zrozumiał w pierwszej rozmowie moje propozycje; zawarłszy przymierze, Tak był początek. Reprodukowane w obecnym numerze białe-czarne „zwierza” z tego początku się wywodzą. Był to „dywan” tkany, jak to się teraz nazywa „z głowy”, ale pod wrażeniem oglądanej fotografii dywanu kaukaskiego.

Do sierpnia 1934 r. Adolf Jaroszewicz tkal dywany „kapowe”. W sierpniu wymienionego roku utkał owe „dzikie zwierza”. W zdumieniu — kolejno powątpiewaniu i zachwycie. Od tego już czasu nigdy nie tkal wzoru „kapowego”, ani w ogóle wełny anilinowej.

Owe pierwsze „zwierza” czarnobiałe naumyślnie robione były wełną grubą, którą nie da się utkać wymyśloną bzdurą — a musi się tkąć technicznie. Odeszły naturalnie daleko od swego pierwowzoru kaukaskiego, skryształowały się całkowicie w technicznych koniecznościach podwójnej tkaniny, wyszukując z lubością jej możliwości. Tak zaistniały owe „pazury” i „zęby” zwierza, uzyskane wydobyciem w odpowiednim miejscu na wierzchu białych nitk osnowy, owe „kwiatki”, „choinki”, zapinające całą przestrzeń „dywanu” może jeszcze trochę chaotycznie, jednakże z poczuciem równowagi miejsca i kompozycji, która ma początek i zamknięcie. W tym pierwszym z brzegu „dywanie” narodziły się i uformowały różniczne motywy i motywiki, o których się przedtem tkaczowi nie śniło. Motywy te stały się złączkami dalszych dywanów, robionych „z głowy” bez żadnych wzorów i rysunków — komponowanych na warsztacie w czasie roboty z tworzywa technicznych możliwości.

W ciągu kilku lat Jaroszewicz potworzył swoje „zwierza” kilkakrotnie, za każdym razem inaczej — coraz bardziej uporządkowane. Tak stało się, że wrosły one w polską wieś i zyskały prawo obywatelstwa, stając się wspólną własnością. Dziś tkające kobiety powtarzają je znowu inaczej. Nie robią kopii, lecz za każdym razem nową, żywą całość. Jednakże „zęby” i „pazury” są obowiązkowe — tego zmienić nie wolno.

Owe pierwsze zwierza spaliły się na Żoliborzu w sierpniu 1944 r.

Adolf Jaroszewicz nie żyje. Nie żyje także jego siostra Zofia Zemałtjuk — z których dwojgiem pracowaliśmy wspólnie, ucząc się od siebie nawzajem.

Ale dorobek owego czasu — złożony jak miod w ulu — karmi dalsze pokolenia.\*\*\*

\*) Reprodukujemy je również obco.

\*\*) Z artykułu Eleonory Plutyńskiej „Dywany sokolskie”, „Architektura”, Warszawa 1947 nr 2.

Zygmunt Turkiewicz



Motyw „słoni”.

# ZYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 18 maja 1952.

## W TROSCIE O BIBLIOTEKE POLSKA W PARYŻU

Grono członków dawnej Akademii Umiejętności, przebywających na uchodźstwie, wydało w dniu 3 maja następujące oświadczenie:

„Wobec uchwały powziętej przez Polską Akademię Umiejętności dnia 2 czerwca 1951 o rozwiązaniu P.A.U. i przekazaniu całego jej stanu posiadania mającej powstać Akademii Nauk, której statut 30 października uchwalony przez Sejm, nadaje jej znaną organu administracji komunistycznej, narzucając obca przemocą naszą ojczyznę, — podpisani członkowie Polskiej Akademii Umiejętności stwierdzają, że w tym stanie rzeczy Biblioteka Polska w Paryżu, bezcenna spuścizna Wielkiej Emigracji Polskiej i pomnik jej walki o ocalenie polskiej tradycji i wartości duchowej i narodowego ducha, nie może być nadal włączana za placówkę rozwiązującą się z Akademią.

„Instytucja ta winna być całkowicie niezależna od P.A.U.

„Umowa zawarta z tą Akademią 18 września 1951 r. i 16 stycznia 1952, zgodnie z jej warunkami, winna być uznana za wygasłą. Własność Biblioteki Polskiej, jej gmachu i zbiorów, winna być przywrócona dawnemu właścicielowi, tj. Towarzystwu Historyczno-Literackiemu w Paryżu.

„Podpisani aprobują całkowicie stanowisko zajęte przez Dyrekcję Biblioteki Polskiej w Paryżu w sprawie niezależności tej instytucji i jej tradycji oraz decyzję Towarzystwa Historyczno-Literackiego o podjęciu kroków prawnych, zmierzających do sądowego uwolnienia wspomnianej wyżej umowy pomiędzy Towarzystwem Historyczno-Literackim a Polską Akademią Umiejętności i przywrócenia własności Biblioteki Polskiej jej pierwotnemu właścicielowi.

Oświadczenie podpisał: T. Brzeski, W. Folkierski, O. Halecki, J. Kucharzewski, M. Kukiel, W. Lednicki, H. Paszkiewicz, A. Turyn.

Prof. Władysław Folkierski pisze:

Powyżej zamieszczone oświadczenie dotyczące Biblioteki paryskiej znajduje się w ścisłym związku z rozstrzygnięciem, które stało się przedmiotem sprawy w sądzie. Jest zdarzeniem — w obecnych trudnych warunkach — pożytecznym, że znalazł się na emigracyjnym wygnaniu także i przedstawiciel polskiej nauki, członkowie dawnej Akademii Umiejętności, którzy w obronie tej nauki i jej wartości mogą głos podnieść.

Tych właśnie spraw zasadniczych dotyczą i losy Biblioteki Polskiej w Paryżu.

Jest to instytucja dostojna, sercem polskim droga, bo od roku swego założenia, od r. 1838 związana z historią Wielkiej Emigracji i wielkimi nazwiskami Adama Czartoryskiego, generała Zamojskiego, J. A. Niemcewicza i tytu innych. W roku 1893 została ona przekazana przez paryską Polską Akademię Umiejętności w Krakowie. Darowizna ta miała jednakże pewien warunek, który okazał się przeczony. Stypulowała mianowicie, że stacja Akademii Umiejętności, jaką stała się Biblioteka Polska w nadsewastowskiej stolicy, miała dalej służyć wielkiej sprawie niepodległości polskiej i wolności ojczyzny.

Biblioteka Polska cudem Opatrzności i wielką ofiarnością swych pracowników ocalała w czasie wojny (wywieziona przez Niem-

cow, została odnaleziona i wrócona do swej paryskiej siedziby) po roku 1946 narazona była na znaczne niebezpieczeństwa na skutek coraz wyraźniej zarysowującej się zależności od wstarcia komunizmu w jaką podpadła Akademia Umiejętności. Zdolano wtedy, przy pomocy ówczesnego Rządu Polskiego w Londynie, w czas zapobiegające zbliżającym się tu, Towarzystwo Historyczno-Literackie z całym naciskiem wskazywało na brak warunków do służeń ideałom wolności i niezależności nauki, w jakim znalazła się Akademia krakowska. Po przewlekłych, wieloletnich staraniach i skutecznej obronie Towarzystwo Historyczno-Literackie wchodzić dziś ponownie w swoje prawa gospodarza Biblioteki, przy bardzo skutecznej pomocy władz francuskich, które w wysokich sędziowskich instancjach orzekły ciągłość organizacji dotychczasowego Towarzystwa Historyczno-Literackiego z ówczesnym Towarzystwem utworzonym przez naszą Wielką Emigrację.

Biblioteka Polska w Paryżu nie mogła i nie chciała stracić swego charakteru instytucji naukowej. Dlatego też, w głębokim zrozumieniu tej sytuacji, Towarzystwo Historyczno-Literackie zwróciło się do londyńskiego Towarzystwa Naukowego, grupującego m.in. grono członków dawnej Akademii Umiejętności, z prośbą o objęcie opieki naukowej nad Biblioteką.

Losy krakowskiej Akademii zostały przez parę tygodniami przypieczone. Ukazał się dekret berutowski kreujący oświadczenie, które Akademii Nauk, zaprzeczając wotum sędziowskie, przy całkowitej degradacji naukowej dotąd Akademii Umiejętności i Warszawskiego Towarzystwa Naukowego. Przez Akademię Umiejętności, prof. Kazimierz Nilsch, światowej sławy lingwista oraz prezes warszawskiego Towarzystwa Naukowego prof. Wacław Sierpiński, międzynarodowy autor tytętu na polu matematyki, zostali już tylko wiceprezami nowej Akademii Nauk, której prezesem został p. Dembowski — nazwisko dobrze znane, ale z zupełnie innych, jak się domyśleć łatwo, powodów.

Łatwo się również domyślić, co by Biblioteka Polska w Paryżu czekała, gdyby się nie była uniezależniła od zgwałceń, da Bóg uspieszeń tylko, Akademii.

Nakładła to z kolei wielkie obowiązki na naszą emigrację. Biblioteka Polska, obok swego znaczenia symbolicznego i ideowego, ma bieżące zbory. Posiada gabinet rycin, rzadki zbiór map (700 map od XVI wieku), Muzeum Mickiewiczowskie, będące niezaprzeczoną unikatami, Archiwum Emigracyjne. Jedynie już w świetle po stracie Zbiorów Rapperswilerkich, które splonęły w kraju — przetrwały w całości wojennej grabieży, ale w wielu części ocalały. Niestety Biblioteka Polska znajduje się w stanie wręcz niezdy. Byłoby grzeszem prawdziwie narodowo-myślowym, gdyby ten skar, znajdujący się w własnym pałacyku na Wyspie św. Ludwika, w tym samym wycie domu, którego progi przekraczała i Mickiewicz i Słowacki i Chopin i Norwid i X. Adam i Niemcewicz i Książkiewicz i Władysław Zamojski, gdyby ten wspaniały ośrodek polskiego promieniowania kulturalnego został zmarnowany, na skutek niedopatrzności naszej emigracji.

Podpisane pod załączonym oświadczeniem grono polskich uczonych nigdy nie dopuści do milczenia w tej pięknej sprawie.

wnikania w zjawiska badane; braknie bo wiem w takim razie dowodu sumiennosci, bez której poszukiwanie zawsze jest narazem na przypadkowość wyników osiągniętych" (Patrz prof. St. Zakrzewski: „Zagadnienia historyczne”, t. I, str. 109, Lwów 1936). To jedno. Ale bardzo zasadnicze.

Powtórze Stawoni Profesorowie mówią, że „książka (prof. Wielhorskiego) zajmuje się przede wszystkim stosunkami narodowościowymi w W. Ks. Litewskim, o czym mówi wyraźnie tytuł pracy. Sprawy wyznawcze o-mawiane są w niej ubocznie, jako jeden z współzależnych kształtujących kultury etniczne na obszarach Litwy historycznej”. I tu następuje twierdzenie główne: „Autor nie miał nie tylko obowiązku, lecz i możliwości (?) powoływania się na dzieła, nie posiada, jako bezpośredniej styczności z tekstem jego pracy”. Tu muszę się powziąć o sprawy zasadnicze. Tytuł prac nie jest argumentem. Treść zaś pracy świadczy, że sprawy wyznawcze były nieraz istotnym czynnikiem dla urobienia samej narodowości, jej psychiki i postawy życiowej. Sam prof. Wielhorski pisze: „Henryk Paszkiewicz wykazuje operującą się na kronikach ruskich, że termin „Rus” w średnio-wieku oznaczał nie wspólnotę językową i genealogiczną ludności, czy dojeżdże geograficzne, lecz właśnie jednostkę wyznaniową. „Język „ruski” znaczył więc, co język ludności przynależnej do cerkwi rękowej (wschodniej)” (str. 31). I tu zobok p. Wielhorski dodaje: A. Brückner mówi: „Jak w Polsce Kosiółki, tak przedstawiała na Rusi Cerkliew jedyny łącznik narodowy”.

Ponadto na str. 89 swej pracy mówi prof. Wielhorski: „Druga połowa w. XVI i początek XVII nadsją się szczególnie do oceny ciężaru właściwego i wagi bezwzględnej w życiu Litwy historycznej trzech głównych ognisk kultury, współdziałających i współzawodniczących z sobą na tamtych terenach. Jest to bowiem doba głębokich wstrząsów psychicznych w dziedzinie stanowiącej najistotniejszy wyraz zainteresowań poszczególnych, czyli doba generalnej próby sil w dziedzinie religijnej. Walki wyznawcze oraz zagadnienia umi pomiędzy Kościołem greckim a rzymskim wypęniają po brzegi tyko doświadczenia Litwy tego okresu. Pozostają z owych czasów liczne źródła pisemne, co z-waża, na próbie sumarycznej bodaj zestawień i wniosków o roli „rutenizmu, litewskości i polskości w losach kraju...” Już te cytaty chyba wystarczą jako dowód, że pomimo tytułu, treść książki wysuwa zagadnienia religijne na czoło rozważań, a walka o sumienia i udział w tej walce poszczególnych narodowości dają podstawowe wnioski do scharakteryzowania udziału Polaków, Litwinów i Białorusinów w dziejach kultury W. Ks. Litewskiego. Wtę jak bardzo by się przydała autorowi znajomość kilku monografi prof. Grabowskiego!

Nie będę pominał dalszymi przykładami potęmi dla zaoszczędzenia czasu i miejsca. Sprawa Starobródzów wymagałaby szerzego oświetlenia, a faktem pozostaje, że autor w opracu jedynie o Korzona, nie mógł zrozumieć samego zjawiska Starobródzów w Polsce, jak i roli, jaką odegrał wobec Rosji. Ale to już do tematu nie należy.

Sprawa tolerancji religijnej w Polsce dawniej jest jednym z najważniejszych zagadnień wymagających ostatecznego sprzezywania w nauce. Bywały różne okresy — szerzej i węższej stosowanej tolerancji, lecz nie może ulegać najmniejszej wątpliwości sam fakt istnienia tej tolerancji. Dlatego właśnie niezbyt wyraźne definicje p. Wielhorskiego, oceniającej sprawę. Tajemniczo Professorów pozostawia dialego ja, cytując lojalnie nie tylko wypowiedzi autora książki, za-ciemnieniem „wizerunek sprawy”. Czy tego „zaciemnienia wizerunku” nie należy szukać nie w recenzencie?

Na zakończenie jedna uwaga. Wszystkim nam zależy na postępie badań polskich na obczyźnie. Dlatego właśnie z taką uwagą ocenilem wartyściową pracę prof. Wielhorskiego i tyle jej miejsca poświęciło ZYCIE, zalecając przekład angielski tej książki.

Każda powieść naukowa wyjaśnia sprzeczności i sądzi, że ma na celu osiągnięcie prawdy obiektywnej, prawdy naukowej. I czyż nie dużo skuteczniejszy byłby sposób dyskusji w pojedynkę, niż jej utrudnianie zbiorowym, bezapelacyjnym wystąpieniem całej Rady Naukowej, dla której mam tyle szacunku i wdzięczności, jako reprezentantki na uchodźstwie, umiłowanej Wszechniato Radowej? Prof. Wielhorski, jak sądzi, mógłby się sam bronić.

WIESŁAW ŻYLINSKI

Londyn, 23.4.52

## BŁĘDY KOREKTORSKIE

W 19 (254) numerze ZYCIA w artykule „O właściwym pojmowaniu Boga” skutkiem błędnej korekty nastąpiło w kilku miejscach błąd dostrzeżenia sensu, bądź też niezrozumienie zniekształcenie myśli.

Główne błędy, które mi się udało stwierdzić przy pobieżnym przejrzaniu egzemplarza są następujące: „Lam pierwszy (początek) — miało być „przynajmniej tego zjawiska tkwi w jego swartości”, wydrukowano „zawartości”, co gruntownie zmienia sens zdania; „Lam czwarty (koniec) — miało być „zamiast charakteru teocentrycznego” wydrukowano „teoretycznego”; „Lam szósty (koniec) — miało być „albowiem człowiek nie może Mnie uzrzyć i żyć” opuszczono „i żyć”.

FELIKS BOHDANOWICZ

W wspomnianym moim pt. „Msza w katedrze mińskiej”, drukowanym w nrze 17 (253) ZYCIA, chręchik drukarski dopuścił się kilku figl, które — z prośbą o umieszczenie tego krótkiego wyjaśnienia — pozwalając sobie sprostać, aby nie obciążały konta. Bogu ducha winnego, autora.

Specjalną złościwiczą technię twierdzenie (wiersz 23, lam 1), że poseł Dąbski „onleśmiał” swymi butami bolszewików. Ci ostatni nie są aż tak piechliwi i Dąbski po prostu onleśniał ich warszawskimi butami. W wierszu 38, lam I, po „nie zwracano”

brak słów, nawet poczty dyplomatycznej przez pewien czas nie dojeżdżano” zaciemnił sens zdania.

Wreszcie podczas Mszy św. w katedrze mińskiej byliśmy oczywiście odgródzeni od miejscowych Polaków kordonem, nie zaś „kordonem” czekistów (wiersz 21, lam IV).

JOZEF RELIDZYNSKI

Proszę o łaskawe umieszczenie poprawek do omyłek w druku w moim liście dyskusyjnym z nr 16 ZYCIA.

Tytuł wieni był „Filozofia a nauka i Objawienie”, a nie „Filozofia a Nauka Objawienia”. Dalej winno być: „Człowiek albo z Objawieniem, albo nie, zależnie od tego, w jakiej religii się urodził”, zamiast „niezależnie”. Dalej nie „nauki filozoficzne” a „nauki pozafilozoficzne” (są źródłem pewności) i wreszcie cudzojęzykowo winno być „nie w każdym sensie” i kończyć po „najemniczek Objawienia”.

ROMAN JASIEŃCZYK

Na lamach dwu ostatnich numerów ZYCIA obficie znowu zebrał chochlik recenzji. Prustejmy błędy, przepuszczając Autorów i Czytelników.

RED.

## ŻYCIE KULTURALNE EGMIRACJI

KONKURS TEATRALNY

Sąd Konkursowy w składzie: pp. W. Günther, J. Kapka, Z. Nowakowski (przewodniczący), Dr Teńczyk i I. Wieniewski rozstrzygnął dnia 4 kwietnia br. konkurs teatralny, ogłoszony zwyciężcom, przyjętym od kilku lat, przez Towarzystwo Przyjaciół Teatru Polskiego, pragnące wyrazić w ten sposób uznanie scenom polskim oraz zachęcić je do dalszych starań o jak najwyższy poziom artystyczny przedstawień.

Konkurs objął sztuki, wystawione między 1 kwietnia 1951 a 31 marca 1952.

Przynano następujące nagrody:

- 1) nagrodę za najlepszą reżyserię przyznano p. Dr L. Kiełanowskiemu za inscenizację „Grzechu” Zeromskiego w wysokości £ 200.0;
- 2) nagrodę za najlepszą kreację aktorską p. M. Buchwaldowej za wykonanie roli Doroty w „Przełórczeniu” Zeromskiego w wysokości £ 200.0;
- 3) nagrodę za najlepszą grę zespołową artystek i artystów, występującym w „Grzechu” Zeromskiego (pp. Belskiej, Domańskiej, Dygatkówny, Katebachówny, Ustarbowskiej, Karpowicz, Kopeckiewicz i Krajewskiej) w łącznej wysokości £ 800.0 do podziału po £ 100.0 na osobę.
- 4) nagrodę za najlepszą pracę sceniczną p. M. Orłowiczowej za całokształt tworzenia dekoratorskiej w wysokości £ 200.0.

Ponadto Sąd Konkursowy postanowił wyróżnić odegrane przez młodzież szkolną, a prawdziwie pięknie przedstawienie „Wesela” Wyspiańskiego oraz „Zemsty” i „Ślubów Pauleńskich” Fredry.

Oficjalne wręczenie nagród, połączone z przemówieniem przedstawicieli Sądu Konkursowego i występami laureatów, odbędzie się w wtorek, 13 maja br. w sali Ogńska Polskiego o godz. 7.30 wieczorem.

## WŚRÓD KSIĄZEK I CZASOPISEM

WIOSENNY SEZON ARTYSTYCZNY W PARYŻU. W maju otwarta będzie w Paryżu międzynarodowa wystawa sztuki. Przewidywany jest też szereg zjazdów, koncertów, festiwali. Zdanem prasy sezon wiosenny w Paryżu zapowiada się w tym roku szczególnie świetnie.

W Cannes otwarty został V międzynarodowy festiwal filmowy. Otwarcia dokonał minister Maurice Schumann.

NOVA POWIEŚĆ CLAUDE FARRERA. Sędziwy powieściopisarz francuski Claude Farrère, którego powieści cieszyły się tak olbrzymim powodzeniem w latach poprzedzających pierwszą wojnę światową, nie ustaje w swym wysiłku pisarskim. Świeżo ukazała się nowa jego powieść „L'Élection sentimentale”, której bohaterami są „nieśmiertelni” z Akademii Francuskiej. Powieść wydała firma Éditions Baudinière (cena 450 fr.)

ROZCZYNIA ZGONU ZOLI. Notowaliśmy już na tym miejscu, że w ciągu roku bieżącego przypada pięćdziesiąta rocznica zgonu Emila Zoli, najwybitniejszego przedstawiciela frankizmu naturalistycznego w powieści francuskiej. Ostatnio pod patronatem prezydenta Republiki Francuskiej, Vincenta Auriola i pod honorowym przewodnictwem E. Herrina, p. prezesa „Société Littéraire des amis d'Emile Zola”, utworzył się komitet obchodu tej rocznicy. W skład komitetu wchodzi szereg wybitnych pisarzy, artystów i intelektualistów francuskich, przeważnie o przekonaaniach liberalno-lewicowych. Do komitetu zaproszono też sześć osób, reprezentujących rodzinę wybitnego pisarza; znajdują się wśród nich Madame Bryllinski.

„REPINIZM” W SZTUCE. Na jednym z ostatnich posiedzeń komitetu centralnego rosyjskiej Partii Komunistycznej Zdanow zajęł się zagadnieniem malarstwa i jako jednego z najważniejszych „klasyków” w tym zakresie zarządził warty godny naśladownia, wymienił Repina, malarza rosyjskiego z końca ubiegłego stulecia. „Wraz ze swymi współrodakami, Brylowem, Wreszczaginem, Wasniełowem i Surikowem — mówił Zdanow — Repin reprezentuje skarby malarstwa klasycznego”. Dziedzictwo to zagrożone jest jednak dzisiaj przez malarzy, którzy patrzą na świat oczyma wariatów. „Tak na przykład — ciągnął Zdanow — rysuje się kobiecie o jednej głowie, ale na czterech nogach, z prawym okiem patrzącym w jedną stronę i drugim zwróconym gdzieś ku diabłu...” Nie przynajmniej do tej pory Repin narzucał jest jako wzór dla malarzy sowieckich. U-

wał Zdanowa — jak stwierdza „Figaro Littéraire” — wywołały za to wielkie zamieszanie wśród pisarzy i artystów, będących członkami francuskiej Partii Komunistycznej, którzy za mistrza swego zwykli uważać Picasso, najwybitniejszego przedstawiciela malarstwa modernizmu, a więc kierunku tak ostro potępionego przez Zdanowa. Wśród francuskich pisarzy i malarzy komunistów toczy się w chwili gwałtowna dyskusja, choćby bowiem wielu stoi na stanowisku swobody indywidualnej w sztuce, inni skłonni są do poddania się werdyktom Moskwy.

WIDMO GŁODU. Mogłoby się wydawać, że odsetek ludzi głodujących w świecie, w miarę szerzenia się idei sprawiedliwości społecznej i w miarę postępów technicznych, będzie się zmniejszał. Uczeni specjaliści dochodzą jednak do wniosków wręcz odmiennych. Ostatnio Charles Darwin, rodony naukłwory znanej teorii ewolucji, ogłosił książkę pt. „The Next Million Years” (Hort-Davis, cena 15/-), w której utrzymuje, że pesymistyczne tezy Malthusa sprzed stu z górą lat oparte są na trafnych założeniach.

Zaludnienie ziemi — stwierdza Sir Charles Darwin — nie może nigdy przekroczyć obecnego stanu więcej niż pięciokrotnie i będzie miało okresy spadku na skutek ponawiających się okresów głodu. Znajdujemy się już niedaleko końca okresu, który można by nazwać „złotym wiekiem”, a którego zamianem jest zarówno wzrost ludności ziemi, jak i jej stopy życiowej. Ów wzrost spowodowany jest zarówno wzrostem ludności i eksploatacją całego naszego globu. Tymczasem rozmiar ziemi są ograniczone, a morza są ubogie w składniki żywnościowe; poziom rolnictwa podniesiony być może wybitnie tylko przy pomocy niezwykle kosztownych nakładów; także żywność, sporządzona syntetycznie, będzie zawsze droga.

Zdanem Darwina ludzkość będzie się jednak nadal rozmnażała, jak zwierzęta. Rezultatem będą okresy głodu i dalsze wojny o przestrzenie dostarczające żywności. Pesymistyczne tezy Darwina zakwestionowane zostały przez niektórych recenzentów, ale w postaci raczej ogólnikowej.

MADARIAGA O EUROPIE. Znany pisarz hiszpański na uchodźstwie, profesor uniwersytetu oksfordzkiego, Salvador de Madariaga „apalał” książkę pt. „Portrait of Europe”, o bractwach tradycji kulturalnej i politycznej Europy. Książkę wydała firma Hollis & Carter, cena 18 sh.

## ZAPISKI LONDYŃSKIE

BRITYSKIE WYDARZENIA KULTURALNE  
OSTATNIEGO OKRESU

SZEKSPIR NA EKRANACH TELEWIZJI

W kolach krytyków literackich oraz fachowców w zakresie radia i telewizji toczy się obecnie gorąca dyskusja na temat, czy wolno dostosowywać utwory dramatyczne Szekspira do potrzeb telewizji. „Puryści”, wśród których czołową rolę odgrywa Ivor Brown, b. redaktor naczelny „Observera”, przeciwni są „kalecznikom” i „wulgaryzowaniu” Szekspira dla tego celu. Natomiast taki np. M. O'Ferrall, dawniej pracujący w wytwórni filmowej, obecnie zaś „producent” telewizyjny, jest zdania, że dzieła Szekspira bez wielkiego dla nich uszczerbku mogą być przedstawiane na ekranach telewizyjnych, co więcej, że lepiej nawet dać „obciętą” wersję tego czy innego utworu Szekspira, niż nie dawać niczego w ogóle.

„Puryści” zdaje się nie zdolają przeprowadzić swego punktu widzenia. Ostatnio na ekranie telewizyjnym ukazała się mocno skrócona wersja zekspekrowanej komedii „Pokromienie złośnicy” w reżyserii Desmona Davisa.

PRZECIWI KSENOFOBII

Związek Muzyków (Musicians' Union) wniósł na kongres szkockich Trades Unionów w Perth rezolucję, wyrażającą ubolewanie z powodu „nadmiernego zakresu dopuszczenia zagranicznych orkiestr i innych wykonawców do udziału w Festiwalu edynburskim”.

Rezolucja ta odrzucona została dużą większością głosów na końcowym posiedzeniu kongresu, obradującego w Perth.

ZOON ELISABETH SCHUMANN

Prasa brytyjska poświęca nekrologi zmarłej niedawno doskonałej śpiewaczki niemieckiej Elisabeth Schumann, która znana była dobrze publiczności angielskiej zarówno z występów w Londynie, jak z audycji BBC.

SIMENON W LONDYNIE

Znany autor powieści detektywistycznych, Georges Simenon przybywa z wizytą do Londynu; głównym celem jego odwiedzin jest przyznanie się do roboty dokonał nowego filmu „The Man Who Watched the Trains Go By”, opartego na jednej z powieści Simenona. Simenon jest Belgiem z pochodzenia, duży przez dwa dziesiątki lat w Paryżu. Od lat siedmiu gospodaruje na farmie w Stanach Zjednoczonych, nie ustając zresztą w pracy pisarskiej. Powieści Simenona cieszą się wielką popularnością także wśród wybitnych pisarzy i intelektualistów, jak wynika z przeprowadzonych ankiet.

Pierwsze swe opowiadanie Simenon napisał mając 15 czy 16 lat; w następnych pięciu latach używał szesnastu różnych pseudonimów. W wywiadzie prasowym oświadczył niedawno, że na pracę pisarską poświęca łącznie tylko 38 dni w ciągu roku i że większość swych nowel i krótkich powieści kończy w ciągu mniej więcej jedenastu dni.

Madame Simenon, która jest dzielną pomocniczką męża w jego pracy, opowiadała jednemu z przedstawicieli prasy, że Simenon za czynną nową powieść czy nowelę zgoda nie wie, jaki będzie jej koniec. „Początkowo myślałam, że po prostu bluffuję... A przecież to prawda; rozpoczyna pisać o stworzeniu atmosfery utworu i omalby tego wstąpić w miarę pisania”.

Dodać należy, że do tej pory 30 powieści Simenona zostało sfilmowanych.

DODA CONRAD PRZYJAZDZI DO LONDYNU

Wybitny śpiewak amerykański polskiego pochodzenia bas-baryton Doda Conrad, przybył z Now Yorku do Londynu. Conrad wystąpił na koncercie pieśni Brahmsa, Schuberta i Chopina. Conrad jest uczniem słynnej muzyki francuskiej Nadi Boulanger. Po ostatnich występach we Francji i w Hiszpanii zdobył sobie uznanie krytyki. Conrad nagrał w Londynie wszystkie pieśni Chopina na płytach gramofonowych.

## „DWA ŚWIATY”

Komitet Wydawniczy dzieła M. Pawlikowskiego „Dwa Światy” powiadoma, iż subskrypcja została przedłużona do dnia 30 czerwca w całości, aby umożliwić dotarcie akcji do najdalszych okolic, wobec długiego trwania komunikacji z krajami zamorskimi, gdzie zapoczątkowanie jej wzbudziło silny odzew. Pragniemy również wpaść na ręce wielu osobom, które nie mogą wpłacić całej przedpłaty w zapowiedzianym terminie, pragnęłyby rozłożyć sobie spłatę ratami do dłuższego terminu, nie tracąc prawa do ceny niższej.

## SZANIO

(Dokończenie ze str. 2)

kwiaty kupić, to ja mu powiedziałem, żeby owoce. Po co kwiaty? Wiedzieliśmy, że pan dostanie od „Swego pana” i ode mnie i pewnie od tej pani z 45 bloku, to wystarczy, nie ma tyje garków na kwiaty.

— Wiesz, Szanio, że ty bardzo dobrze zrobiesz — przyznałam ubawiona...

— Accia he — bąknął sobie w roztępnym języku — w porządku — i ciesz się cicho do roboty.

— Tymże samym swoim przyjacielem, Rafakiem, slyszalam kiedyś, jak się Szanio dość zaciekło, jak na niego, kłocił a nawet wyzywał, ale co dziwniejsze — po polsku.

— Dlaczego się z nim nie wykióciś po Marati?

— Po co Marati? Po Marati nie ma „psiakrew” nie ma „szlag niech trafi”, nie ma „pocałuj...”

— psia w nos”, prawda? No tak, przyznaję ci w takim razie, że wygodniej jest nawymyślać sobie socyzyscie po polsku.

— Wygodnie — przytaknął Szanio z przekonaniem.

Nieraz zastanawiałam się, co będzie z takim Szaniem czy Rafakiem po wyjeździe Polaków. Co zrobią z tym obcym językiem, trudnym a świetnie przez nich opanowanym. Gdyby znali angielski, mogliby liczyć na zatrudnienie u Brytyjczyków. rezydujących w Indiach. Ale polski, na cóż im się przyda? Ale polska kuchnia? A Szanio do niedawna czekał, że pani Zaleska wróci. Kiedy się już pogodził z myślą, że to nigdy nie nastąpi, przylgnął więcej do nas. Zawsze, gdy pewnego dnia zauważył nad łóżkiem nowy obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej, zdawało mu się, że odnalazł swoją „mamusię” panią Zaleską. Znosił jej Matce Boskiej kwiaty (więcej

og odowych niż polnych) twierdząc, że „jest najlepsza ze wszystkich polskich bogów”.

Kiukuletni pobyt Polaków w Indiach dobiegał końca. Zaczęły się posiedzi krażyć pogłoski o szybkiej jego likwidacji. Szanio — jak i cała okolica induska ludność, żyjąca od paru lat polskim chlebem — zaczęły się niepokozić.

— Mamusia też wyjeździe?

— Tak.

— ...A co będzie robił Brynko?

— Nie wiem... może go się otruje.

— Nie, nie wolno zabić... Ja go wezmę do swojego domu.

Na parę tygodni przei naszym wyjazdem Szanio znikł mi z oczu. W jego włosce było kilka wypadków dżemu i ludność jej dostała zakaz zbliżania się do naszego osiedla. Nadszedł dzień wyjazdu, a Szanio nie było. Siedziałam już w wagonie. Mój Brynko, jak i inne psy osiedla, rozpuszczone na polskim chlebie, a teraz bezpańskie, stał z podwinionym ogonem, ogłupiały, wlepiając małe oczka w okno pociągu. Z przedziałów raz po raz rzucano kawałki kiełbasy, których psy nie tykały...

Lada chwila pociąg miał ruszyć, gdy nadszedł zadyszany Szanio. Wyglądał bardzo źle, chudy był i smutny, skarżył się na ból głowy i duszność, ale przyszedł, aby się pozegnać i zabrać psa.

— Mamusia, kiedy Polacy znowu przyjadą?

Pociąg ruszył. Pod tablicą „Vallvade-Halt” stała spora gromadka Indusów. Skoczyli się dla nich lata dobrobytu i sytości, czekała niedza i głód dnia jutrzejszego. Mięgli czerwone dachówki; martwe ogosiedla. Wjeżdżaliśmy w szarą pustkę spleziaj zieleni.

Irena Hradyska